

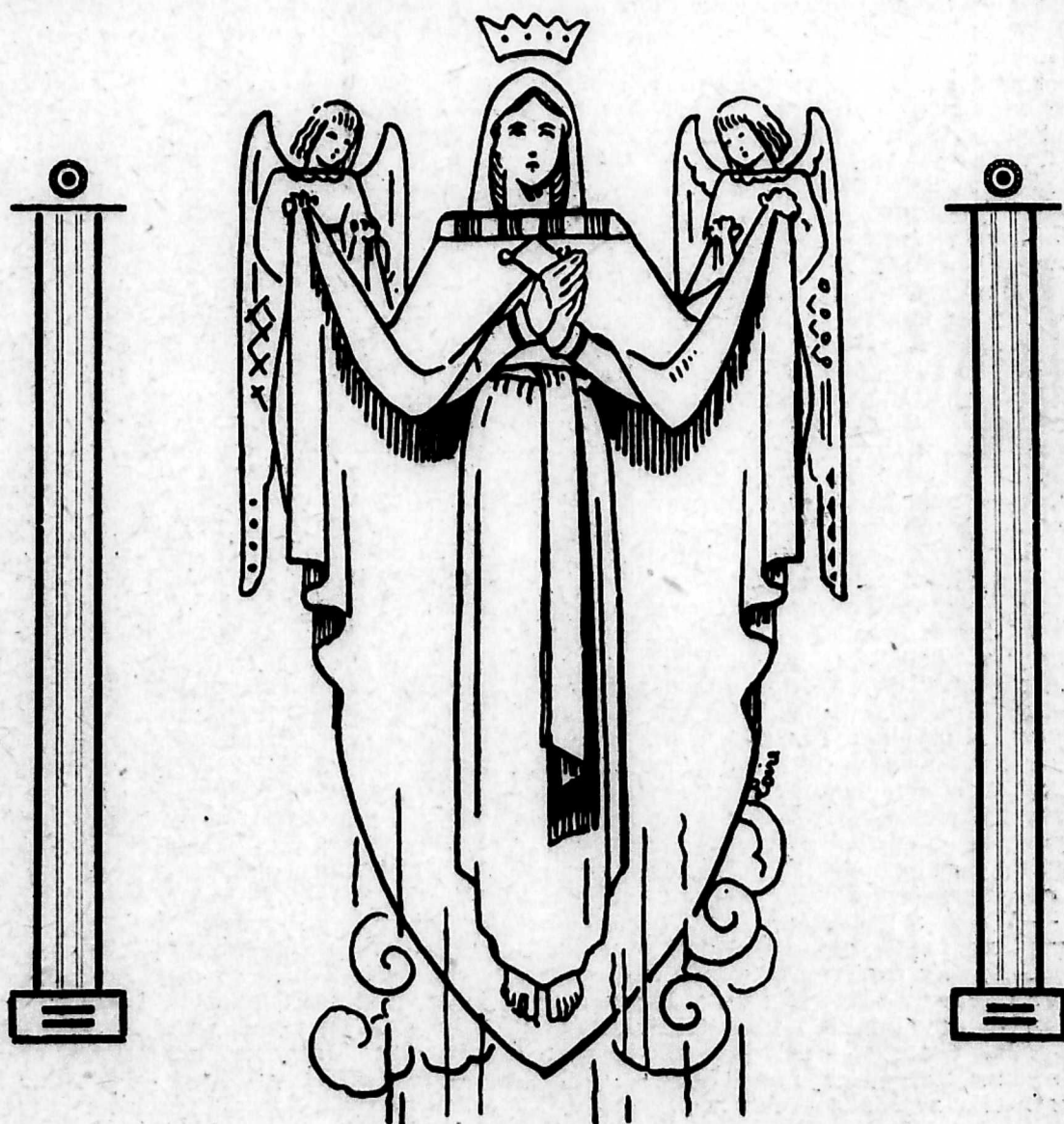


maty **TYGODNIK**

Rok 3

Gorzów, dnia 15 sierpnia 1948 r.

Nr 32



Matka Boża Wniebowzięta

Ave Maria szepcą kłósy

Pod sierpami szumią łany
pieśnią rozmodloną —
Stoję w ciszy zasłuchana,
z kłosnych szeptów łowię słowa.

Czarna ziemia jest kościołem — —
„Ave Maria szepcą kłósy,
„Anioł Pański“ — kwiaty ziola,
błękitami płyną głosy.

Gną się łany od modlitwy,
chóry ptasząt w koło dzwonią,
i muzyką grają sierpy
tą najcichszą snów godziną.

Dźwięk ostatni zwolna kona,
jeszcze szumią pszenne łany — —
gdzieś w kościółku głośno dzwonią
pieśń pochwalną wiejskie dzwony.
Maria Dzierżyńska

Mały Święty

Jednego przedpołudnia słuchałem przez radio kazania, transmitowanego z Łodzi. Kaznodzieja między innymi mówił o chłopcu, który niedawno jeszcze żył wśród nas, a który po śmierci wzbudzał tysiące powołań kapłańskich i misjonarskich.

Był to Wit de Fontgalland.

Urodził się 30 listopada 1913 r. w Paryżu. Od zarania swej młodości ofiarowany Matce Najświętszej przez trzy lata nosił ubranka w Jej białoniebieskiej barwie. Tę swoją „mamę z nieba“ ukochał też z całego serca. Chciał żyć stale z pamięcią o Niej, więc uprosił rodziców, by kazali jego pokój pomalować na niebiesko. Tam, niedaleko łóżka, stał ołtarzyk z figurą Matki Boskiej, który codziennie przystrajał kwiatami. Gdy nadchodził maj, klękał przed nim wieczorem i razem z młodszym swoim braciszkiem, Markiem, odprawiał majowe nabożeństwo. „Zdrowaś Maryja“ była ulubioną jego modlitwą, którą często w ciągu dnia powtarzał.

Mocniej jeszcze kochał małego Jezuska. Cieszył się, że On stworzył śliczne gwiazdki na niebie... A kiedy się dowiedział, że Jezusek przebywa w sercu grzecznych dzieci, prowadził z Nim długie rozmowy i wszelkimi siłami starał się przypodobać swemu Boskiemu Przyjacielowi. Ledwie się z rana przebudził, robił staranny znak Krzyża św. W ciągu dnia był bardzo ruchliwy. Latem, kiedy zmęczony całodziennym bieganiem za motylami i owadami, ledwie żywy kładł się do łóżka, jedno słówko przywracało go do przytomności:

— Wiciu, a paciorek — Wówczas podrywał się nagle, klękał i odmawiał wolno, uważnie cały paciierz, nic go nie skracał.

Tak gorąco miłował swego Jezuska, iż pragnął, aby i inni poznali Go i kochali.

— Jak dorosnę — mówił — zbuduję sobie maszynę, która mnie będzie szybko przenosiła z jednego miejsca w drugie. I wtedy dużo, bardzo dużo pogan przyprawdę Panu Jezusowi.

— A gdybyś tak wpadł w ręce dzikich, którzyby cię zamęczyli, jak niejednego już męczennika?

— A cóż to szkodzi?... Przecież i tak chcąc się dostać do nieba, trzeba umrzeć.

Codziennie ofiarował Jezuskowi co najmniej jedno umartwienie. Ponieważ bardzo nie lubił mięsa, przewycięzał się i jadł je nie zdradzając się, ile go to kosztowało. W piątek, kiedy nie jada się mięsa, wyszukiwał sobie umartwienia najrozmaitsze: raz włożył sobie kamyk do trzewika, innym razem pił bardzo wolno wstrętne lekarstwo...

W siódmym roku życia Wit przystąpił do pierwszej Komunii św. Całym sercem był wdzięczny za to Ojcu św., który małym dzieciom pozwala przyjąć do serca Pana Jezusa.

— Pierwszy samolot, który zbuduję, podaruję Papieżowi — mawiał.

Dotąd tylko Wit mówił, a Pan Jezus słuchał. W dniu pierwszej Komunii św. Pan Jezus zaczął mówić do Wicia.

— Mój mały Wiciu. Ja ciebie zabiorę. Umrzesz młodo. Nie zostaniesz moim kapłanem. Chcę z ciebie zrobić anioła.

— Tak — odpowiedział Wit bez wahania.

O rychłej swej śmierci nie powiedział nikomu. Nawet mamusi. Wiedział, że ta wiadomość zasmuciłaby ją zbyt mocno.

Zaczął chodzić do szkoły. Tu za przyjaciół obierał sobie nie najbogatszych, ale ułomnych i tych, którzy kochali Pana Jezusa. Był wobec wszystkich kolegów łagodny i uступliwy. Nigdy się nie kłócił i nie bił, gdy go wyśmiewano. Ale drugich skrzywdzić nie pozwolił.

W czasie letnich wakacji 1924 roku, Wit wraz z rodzicami bawił w Lourdes. Kiedy raz modlił się przed grota Matki Boskiej, usłyszał w duszy wyraźne słowa:

— Mój kochany Wiciu, już nie długo po ciebie przyjdę. Przyjdę po ciebie w sobotę. Zabiorę cię i objęc twojej mamy i wprost do nieba powiodę.

I rzeczywiście w sobotę 24 stycznia 1925 roku przyszła „mama z nieba” po swego Wicia. Nie został kapłanem ani misjonarzem, choć gorąco pragnął nim zostać. Za to dziś — kilka lat zaledwie po śmierci —

znają go dzieci na całej kuli ziemskiej. Wielu kształci się, by w miejsce Wicia zostać misjonarzami. Wszyscy zaś modlą się gorąco, by drogiego Wita jak najwcześniej zaliczono w poczet świętych.

Bliznięta

(Dokończenie)

Nie kłóćcie się przede wszystkim — powstrzymuje mamusia zapowiadający się wybuch! Najlepiej abyście raz dały spokój temu nierozsądnemu postanowieniu. Każda z was niech kupi takiego jaki się jej podoba i będziecie obie zadowolone. Same powiedzcie, czy to ma jakiś sens tak się męczyć wzajemnie.

Obustronny milczący, zgodny upór jest odpowiedzią.

Zlekka nadąsane dziewczynki wchodzą do sklepu. Tutaj rzecz rozstrzyga się sama. Są tylko brązowe misie a białego nawet z wystawy zdjąć nie chcą. Jania triumfuje ale Hania szybko godzi się z losem. Obie są tak uszczęśliwione posiadaniem misi a mamusia zadowolona, że obeszło się bez sprzeczki.

W domu czeka jeszcze trochę przyniesionych w międzyczasie przez znajomych i krewnych podarunków i słodczy. Czeka też niecierpliwie ciocia, której pilno złożyć życzenia blizniaczkom. Ścisła je też serdecznie na powitanie i każdej wsuwa do rącek sporą paczkę.

Co to ciociu? Co? Dziewczynki skwapliwie rozwijają bibułkę. Wiedzą dobrze z doświadczenia jak ładne podarki przynosi zawsze ta ciocia.

Pantofelki — śliczne, domowe pantofelki, tylko... o Boże!

Nie podobają się wam, dzieci? Co się wam stało — zdumiona ciocia patrzy na zmieszane twarzyczki, na porozumiewawcze między sobą spojrzenia.

Ach, cudne są, tak cudne jak i nieopatrzenie dobrane. Jedna para pasowa, druga granatowa. I co teraz począć? Jak mogła ciocia tak się zapomnieć. Nie mówią jej tego, dziękują i... pozostawiają w domysłach nad przyczyną przeciągniętych twarzyczek.

No, skończy się nareszcie ten bezsensowny upór — wszyscy odetchną swobodniej — cieszą się domownicy.

Przecież nie będziecie chyba aż tak niemądre by ich nie nosić zapobiega mamusia domyślając się niewypowiedzianych zamiarów blizniaczek. Było to już doprawdy szczyt wszystkiego

Zapewne, wiedzą o tym same. Nie chcą jednakże by ktokolwiek zatriumfował nad nimi. Nie dadzą się tak łatwo pokonać. Nie będzie mimo wszystko innej rady jak

odłożyć śliczne pantofelki. Gdybyż to przynajmniej tak bardzo nie bolało — ale aż się rwą by włożyć je na nóżki.

Jeden podarunek urodzinowy tak bardzo się nie udał — jeden tak zepsuł. nastroj całego dnia. Zamyślane udają się na spoczynek. Wzrok ich napotyka na dywaniku przy łóżeczkach równiutko ustawione, necące, uroczyste... przyczyny niepokoju. Oj miło by było nazajutrz wyskoczywszy z łóżeczka wsunąć je na nóżki. Takie ciepłe, mięciutkie.

Z równoczesnym głębokim westchnieniem blizniaczki otulają się kołdrami i gwałtownie odwracają się ku ścianie. Dobranoc.

Cisza — księżyc spogląda figlarnie przez szybę na dwie ciemne główki.

Uśpione?

Janiu?

Go, Haniu?

Wymyśliłam!

Jania nie pyta. Wie doskonale o co chodzi. Jednym susem jest przy siostrzyczce.

Każda z nas weźmie jeden pantofelek czerwony, drugi granatowy.

Haniu! Olśniona Jania zarzuca siostrzyczce rączki na szyję. Co za pomysł! Zwycięzimy!

Śmieją się cichutko — długo. w ciemną noc.

Nazajutrz triumfujące, figlarnie uśmiechnięte jednakże buzie w ramie rozchylnych do jadalni drzwi — jedna prawa i jedna lewa nóżka równo wysunięte przed siebie.

A toż wymyśliły — spostrzega je pierwsza Kasia, służąca. Dobrze że właśnie postawiła kawę na stole, inaczej napewno znalazłaby się ona na ziemi. Załamane gwałtownym ruchem ręce Kasi świadczą o tym wyraźnie.

Małe wariatki — zdumiewa się z kolei, nie mogąc równocześnie pohamować śmiechu mamusia. I wy naprawdę tak chodzić myślicie?

Oczywiście, mamusiu — niezachwiane postanowienie brzmi w głosach blizniaczek. W milczeniu ogólnie skłopotulowano.

Dwie pary dwubarwnie obutych nóg swobodnie wędrują po domu. I będą to zapewne czynić tak długo aż zniszczone pantofelki same z nich nie opadną.

M. Julińska

POLSKIE MORZE

Niech żyje polskie morze
i Polska nad nim trwa,
czy wszędzie złote zorze,
czy będzie dola zła:
Dopóki chłop nasz orze
i serce w piersiach drga —
za Bałtyk i Pomorze
każdy swe życie da!
Lecz gdyby dłoń germańska
znów dźwignęła na nas miecz —
z nad Odry i spod Gdańska
przgonim wroga precz!!!

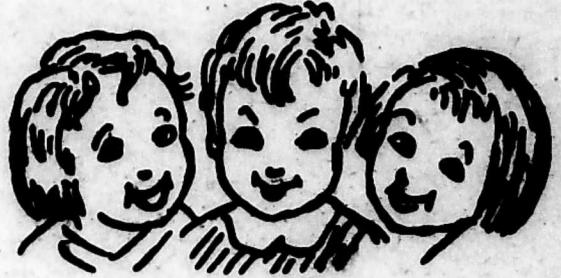
Jotka

Kotek Celinki

Oj, ty kotku mały,
Dostaniesz różeczką!
Jadłbyś wciąż specjały,
Nie kaszkę i mleczko.
Stroisz kwaśne minki.
Co? dla mego kotka
Kotlet z cielęcinki,
Lub śmietana słodka?
Smakuje kielbaska —
Nieprawdaż, koteczku?
A czy to nie łaska
Zjeść kaszkę na mleczku?
Zjadłaby kocinka
Szynki kawaleczek,

Lecz czy da Celinka?
Zjadł kaszkę koteczek.

M. Ch. S.



UŚMIECHNIJ SIĘ!!!

— Gapikiewicz, znowu jesteś nie w porządku, znowu nie masz ze sobą ani ołówka, ani zeszytu! A jak się nazywa taki żołnierz, który idzie na wojnę bez bagnetu i tornistra?

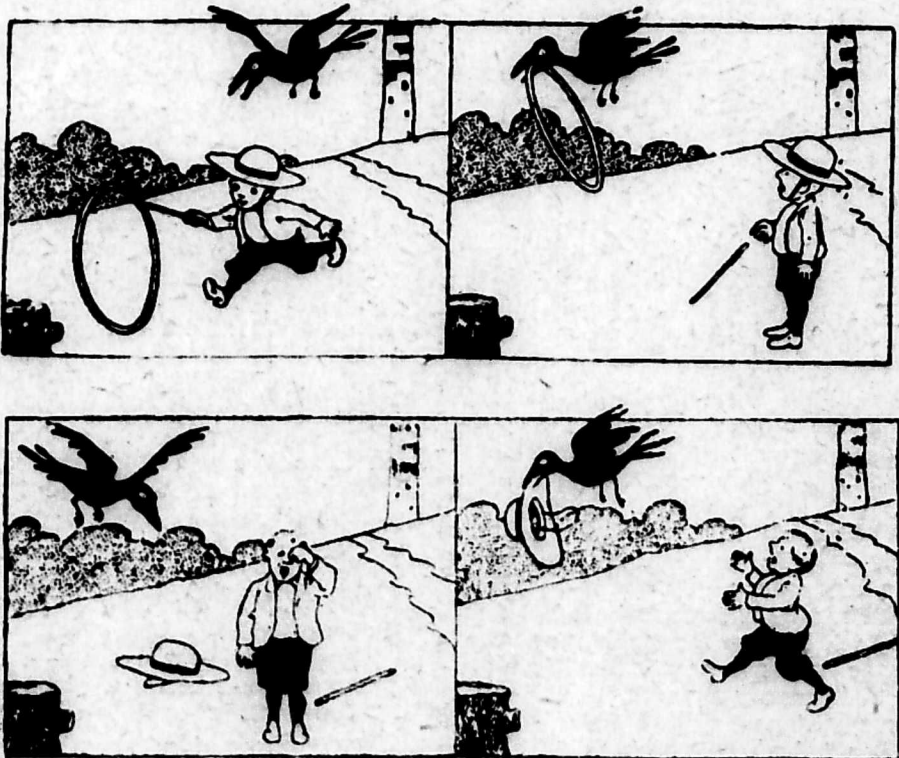
— Taki żołnierz, panie profesorze, nazywa się generał.

Lekcje w szkole zaczynają się o ósmej. Piotruś przyszedł do klasy o w pół dziewiątej i zajął spokojnie swe miejsce. Nauczyciel zwraca mu uwagę:

Dlaczego przyszedł tak późno do szkoły?

— Bo mój tata powiedział, że na naukę nigdy nie jest za późno.

Przygody Wacusia na wakacjach



C. d. n.